№ 24.

WARSZAWA, DNIA 5/17 Czerwca 1865 R.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

Po odebraniu wiadomości stanowiącéj zupełny przewrot w mojem położeniu, nieuczułam zrazu zbyt wielkiéj radości, czego sama nawet sobie nie umiałam wytłumaczyć. Może byłam wtedy nadto wyłącznie zajęta myślami i uczuciami wcale innego rodzaju, może też forma zwięzła i prosta w jakiéj mi tę wiadomość udzielono, przyczyniła się do osłabienia pierwszego jéj wrażenia. Z resztą, mniejsze dostatki więcéj by miały zapewne dla mnie powabu, przeciwnie zaś, sama wielkość mojego nowego bogactwa, czyniła mi je niejako uciążliwem i nieprzystępnem. Saint-John który śledził uważnie wrażeń na mojéj twarzy, nie okazał wcale zdziwienia widząc mnie tak mało ucieszoną; zbyteczna radość byłaby mu więcéj niezrozumiałą.

— Porzuć pani nareszcie tę twarz strapioną, rzekł po chwili; oznajmiając ci że zostałaś bogatą dziedziczką, nie sądziłem sprawić ci tem przykrości. Jeślibyś się nawet czuła w obec swoich nowych dostatków, w położeniu osoby nie głodnéj, którąby posadzono przed suto zastawionym stołem, to jeszcze pomyśl o tylu ubogich czekających na okruchy od uczty... Zaprawdę, dodał, gdyby nie taka słota, przysłałbym chyba pani Hannę, do towarzystwa na resztę nocy, tyle się lękam dla ciebie chwili w któréj sama z sobą zostaniesz, ale biedna Hanna ani by sobie dała rady pośród téj zamieci, która i mnie samego o mało nie zasypała.

To rzekłszy wstał, i nie zważając na moje błagające spojrzenia, wyszedł, zostawiając mię samą w mojéj ubogiéj izdebce.

Poczęłam wtedy rozpatrywać moje nowe położenie i zaraz na wstępie, zapytałam siebie czemubym nie miała podzielić się dostatkami, jakiemi mię dziś darzyła Opatrzność z opiekunami, bez pomocy których, dary mojego stryja byłyby zapewne przyszły dla mnie za późno? Przypomniałam sobie ową noc okropną, w któréj już upadałam pod ciężarem rozpaczy i umierałam prawie z głodu, kiedy gościnne drzwi ich domu otworzyły się przedemną. Przypomniałam z jak szlachetnem zaufaniem byłam przyjętą, a ponieważ postanowiłam nigdy już nie iść za mąż, któż mi mógł być bliższym od Diany i od Maryi? Gdzież mogłam znaleść zacniejszego brata jak Saint-John?

Po niedługim namyśle postanowienie moje było ustalone i kiedy nazajutrz rano, Saint-John przyszedł mnie odwiedzić, zawiadomiłam go o niem, w sposób stanowczy i nie przypuszczający odmowy. Żądałam aby moje mienie było podzielone na równe części pomiędzy nas czworo, jak gdybyśmy byli wszyscy w równym stopniu krewnemi mojego stryja. Ale wymagałam za wiele, i zaledwie potrafiłam otrzymać po zaciętéj walce, aby Diana i Marya podzieliły się połową mojego majątku; Saint-John zaś odmówił stanowczo przyjąć zeń cośkolwiek dla siebie. Pocieszałam się myślą że i on i jego siostry będą ze mną używać części, która przy mnie pozostała, w układach bowiem naszych, przyrzekliśmy żyć wszyscy razem, dopóki to będzie tylko możebnem.

Kiedy o tem rozmawialiśmy, Saint-John zapytał mię z nagła:

— A szkoła? cóż z nią będzie? czy ją zamkniemy?

— Na cóż ją mamy zamykać? wynajdziesz mi pan zastępczynię, tymczasem zaś, nie przestaję pełnić moich obowiązków.

Uśmiech zadowolenia zabłysnął na ustach mojego nowego kuzyna, tak bowiem miałam go odtąd nazy-

wać, i ścisnął moją rękę serdeczniéj nierównie niżeli to dotąd bywało.

Niedługo potem, przyszło jednak pomiędzy nami do sprzeczki. Stało się to w dniu w którym oddawałam zarząd szkoły nowo przybyłéj nauczycielce, w obecności przeszło sześćdziesięciu uczennic. Rozczulona przywiązaniem jakie mi te dzieci okazywały przy pożegnaniu, szczęśliwa że dopełniłam względem nich wszystkich moich obowiązków, i że mogę wejść ze spokojnem sumieniem w posiadanie mojéj niezależności, nie umiałam powściągnąć objawu zadowolenia, którym się zgorszył surowy mój kuzyn; twarz jego poważna przybrała wyraz niepokoju.

— Czem że jest, zapytał mnie, ten spoczynek do którego wzdychasz? co znaczy ten blask nowy który w oczach twoich widzę? na cóż wreszcie myślisz użyć téj swobody którą cię Bóg obdarza?

— O! na nic złego, kochany kuzynie; nie zamyślam wcale oddać się próżniactwu. Oto, musisz naprzód pożyczyć mi Hannę na dni kilka.

— Na cóż jéj potrzebujesz?

— Zabieram ją do Marsh-End, dokąd zaprosiłam siostry. Chcę aby dom był wyświeżony i zaopatrzony we wszystko na ich przybycie, słowem, aby się w nim uczuły tyle szczęśliwe ile ja nią jestem w téj chwili.

Saint-John obdarzył mnie przelotnym uśmiechem, w którym było może nieco przymusu.

— Wszystko to, rzekł, uchodzi na teraz; potrzeba ci nacieszyć się nowem bogactwem i nową rodziną, ale potem, spodziewam się że wzrok twój potrafi wybiedz po za uciechy życia zwyczajnego i po za granice ciasnego samolubstwa, któremu dogadzając, poniżamy siebie samych.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

— Dla czegóż, rzekłam, odzywasz się do mnie w ten sposób? Nie jest że złośliwością z twojéj strony, chcieć zachmurzać moją niewinną radość? I pytam się czemu?

— Oto dla tego żeby ci przypomnieć że będziesz obowiązana zdać rachunek ze zdolności jakie Bóg w tobie złożył, a nad których użyciem nie przestanę czuwać starannie. Jest to moim obowiązkiem, nawet prawem, pamiętaj o tem. Radzę ci więc zachowywać odtąd więcéj umiarkowania w nierozważnym zapale z jakim się rzucasz ku czysto ziemskim uciechom. Siły twoje i żarliwość należą się wyższym celom, nie dawaj im zbaczać z właściwéj drogi. Wszak mnie rozumiesz? nie wątpię o tem.

— Nie więcéj jak gdybyś mówił do mnie po grecku. Mam dzisiaj wszelkie powody czuć się szczęśliwą, czemużbym nie mogła być nią całą duszą, bez obrażenia tego Boga, którego woli zawdzięczam przecie tę chwilę?

Zrobiłam com sobie postanowiła. Przybywszy do Marsh-End, moje kuzynki zastały, z niewypowiedzianą radością, dom rodzicielski, nie przeistoczony wcale, bo tego nie chciałam, ale odmłodzony niejako, dodaniem kilku ładnych mebli i ozdobnych sprzętów, zastosowanych do ogólnego charakteru téj staroświeckiéj siedziby. Przyjęły natychmiast udział w naszych zajęciach gospodarskich, które nie były jeszcze ukończone pomimo starań poczciwéj Hanny, i odtąd, o każdéj porze dnia, ich krzątanie się i wesołe śmiechy rozlegały się po całym domu, ku wielkiéj mojéj radości. Saint-John zdawał się obcy pośród nas; nie okazywał wyraźnie swego niezadowolenia, ale czułam że zakłócałyśmy spokój pracowitych jego nawyknień, i uważałam że odwiedzał pilniéj jeszcze niż przedtem, swoich parafian, przepędzając nieraz dni całe przy chorych i strapionych, lub wśród dzieci, którym udzielał naukę. Im więcéj go poznawałam, tem bardziéj pojmowałam przyczyny, skłaniające go do odrzucania cichego domowego szczęścia do jakiego nie był stworzony, i zrozumiałam dlaczego przywiązanie jego do panny Oliwer, mogło mu się zdawać niewolą godną pogardy. Rozpatrując się bliżéj w jego duszy, znajdywałam w niéj pierwiastki składające bohaterów pogaństwa, i zarazem cnoty Chrystusowych rycerzy. Znajdowało się w niéj wszystko czego potrzeba do przewodniczenia drugim, lub do poświęcenia siebie, i mówiłam sobie, że był to zaiste filar zdolny stać się podporą religii, ale że przy domowem ognisku, dziecię by miało więcéj wartości od tego posągu z marmuru, wiecznie zimnego, martwego i nieruchomego. Co za wzorowy z niego missjonarz! myślałam nieraz, ale jakiż by to był mąż nieznośny!...

XXII.

Po niejakim czasie, wróciłyśmy do naszego zwykłego trybu życia. Diana i Marya stały się nieco poważniejsze, słowem, nasze szczęście nie wynurzało się już tyle na zewnątrz. Odtąd też i Saint-John bywał częściéj znami, nie przerywając jednakże biegu swych nauk, którym się oddawał z niezmordowaną pilnością.

Pewnego poranku, podczas śniadania, Diana nieco zamyślona od kilku chwil, spytała z nagła brata czy trwał ciągle w swoich zamiarach? I zdało mi się, że wymawiając te słowa, spojrzała na mnie, jakbym zostawała w związku z tem pytaniem.

Zamiary podobne moim nie mogą uledz żadnéj zmianie, odpowiedział Saint-John. Według wszelkiego podobieństwa, wyjadę z początkiem przyszłego roku.

— A Rozamunda? zapytała niespodzianie Marya, ale w téj chwili umilkła.

— Rozamunda? odparł głosem zupełnie spokojnym Saint-John, patrząc na nas z kolei, Rozamunda ma zaślubić w krótce pana Granby, wnuka i spadkobiercę Fryderyka Granby, i potomka jednéj z najzamożniejszych rodzin tego hrabstwa. Ojciec jéj zawiadomił mię wczorajszego wieczoru o tym związku, który ma wkrótce być zawartym.

Kiedy to mówił twarz jego była spokojna i nieruchoma, jakby wyciosana w marmurze.

Aleź Rozamunda nie zna prawie tego młodego człowieka, zawołała Marya ze zdziwieniem.

— Kiedy idzie o związek tak wyraźnie korzystny, odparł Saint-John, nie wypada długo się namyślać. Pan Granby i panna Oliwer widzieli się po raz pierwszy zeszłéj jesieni, na balu o którym mi wspomniała nazajutrz... Czy pamiętasz, panno Eyre?

Pamiętałam wybornie i nieumiałam dość uwielbić bohaterskiéj spokojności z jaką ten młodzieniec wywoływał najboleśniejsze wspomnienia miłości, którą ukrywał w głębi duszy. Pragnęłam obszerniéj z nim

o tem pomówić, ale Saint-John, tyle kiedyś ze mną poufały, zdawał się teraz zamknięty w sobie, jak to bywało w początkach naszéj znajomości i pomimo uczynionéj mi obietnicy, że mnie będzie uważał jako trzecią siostrę, zachowywał zawsze w obejściu pewne odcienia odróżniające mnie od jego sióstr rodzonych, co oziębiało nasze stosunki i wyłączało z nich wszelką otwartość i zaufanie.

Niemało się więc zdziwiłam, kiedy zostawszy z nim sam na sam, w kilka dni powyżéj wzmiankowanéj rozmowie, zobaczyłam że podniósł głowę schyloną dotąd nad książkami, i rzekł bez żadnego wstępu:

— Otóż widzisz, Joanno, walka się odbyła, i zwycięztwo zostało przy mnie.

— Czy jesteś pan pewny, odpowiedziałam że nie było okupione zbyt drogo? Jeszcze jedno takie, zabiłoby cię na pewno.

— Nie zdaje mi się, a zresztą, czyż będę miał kiedy do stoczenia podobną walkę?

Po tych słowach, wrócił do przerwanego czytania, jakby chciał dać mi przez to do zrozumienia, że dalszéj rozmowy w tym przedmiocie nie pragnął. Co do mnie, nie odważyłam się przekroczyć tego niemego zakazu, zresztą, zawsze ulegałam w podobnych wypadkach władzy Saint-Johna, gdyż zwykle swoje życzenia objawiał w sposób nie przypuszczający żadnego oporu, a jakkolwiek nie narzucał żądań samowładnych, łatwo było jednak poznać, że idąc wbrew jego woli, zawsze rozsądnéj, można go było urazić dotkliwie. W podobnym razie ustępował i zapewne przebaczał, ale nie zapominał nigdy raz doznanéj przykrości. I tak, kiedy mnie prosił dnia jednego, abym zaniechała nauki niemieckiego języka udzielanéj mi przez Dianę, a rozpoczęła z nim lekcje języka indyjskiego, nie odważyłam się odmówić tego co przedstawiał jako przysługę nie maléj dla niego wagi, jakkolwiek mi było przykro porzucać Szyllera dla wschodnich słowników. Nowy mój nauczyciel był bardzo łagodny, bardzo pobłażliwy, ale też i wielce wymagający, a wpływ jego nad moim umysłem wzmagał się coraz dziwniéj. Sama chęć zadowolenia go, była jarzmem od którego nie umiałam się uchronić. I tak, chociaż nie wstrzymywał nigdy żadnem słowem, rzadkich i umiarkowanych objawów mojéj wesołości, nie podobna mi było śmiać się, lub rozmawiać swobodnie w jego obecności, gdyż przeczuwałam że nie podoba mu się zbyteczna żywość. Kiedy mówił: uczyń to, nie ociągałam się ani chwili w spełnieniu danego mi rozkazu, ale nie miłą mi była ta narzucona niewola, i nieraz życzyłam sobie w duszy powrotu Saint-Johna do jego dawnéj dla mnie obojętności.

Mała okoliczność którą tu przytoczę, wyświeci najlepiéj ówczesny stan mojéj duszy.

Co wieczór, kiedyśmy się rozchodzili na spoczynek, Saint-John całował swoje siostry, życząc im dobréj nocy, mnie zaś, żegnał uściśnieniem ręki. Pewnego dnia, Diana któréj wesoły charakter, poparty silną wolą, nie uginał się przed przewagą brata, zawołała niespodzianie w chwili rozejścia się, że różnica ta była niesłuszną, ze względu iż Sain-John obiecał uważać mnie jako trzecią siostrę, i mówiąc to, popchnęła mnie przemocą ku niemu. Zmięszałam się z razu niemało, i nieumiem wyrazić jak przykrego doznałam uczucia, kiedy piękny Saint-John, schyliwszy się poważnie ku mnie i utkwiwszy w moich oczach swój wzrok przenikliwy, obdarzył mnie braterskim w czoło pocałunkiem.

Gdyby istniały pocałunki z lodu albo też z marmuru, chętniebym z niemi porównała tę kapłańską pieszczotę mojego kuzyna, który pozostał potem przez chwilę w miejscu, jakby chcąc zbadać wrażenie jakiego doznałam. Było ono prawie żadne, i jestem pewna że się nawet nie zarumieniłam, owszem, może pobladłam raczéj, bo ta chwila zdawała mi się skuwać jeszcze bardziéj kajdany, których ciężar już uczuwałam. Od tego wieczoru, owa formalność stała się codzienną, a poważna powolność z jaką się jéj poddawałam: zdawała się być przyjemną mojemu świątobliwemu kuzynowi.

A przecież, niebo złożyło w sercu kobiety tak konieczną potrzebę współczucia, że stopniowo, od dnia do dnia, czułam że pragnę coraz bardziéj zasłużyć na zadowolenie mojego nowego pana. Dla pozyskania go, koniecznem mi było, zapierając się poniekąd siebie, przytłumić część swoich zdolności, zwrócić skłonności z wrodzonego im toru, przyswoić sobie widoki i dążności które mojemi nie były. Saint-John chciał mię wynieść na szczyty na których już brakło powietrza dla moich piersi. Niewdzięczna to była praca i daremna walka, jak niepodobnem było nadać nieregularnym moim rysom piękność własnéj jego twarzy, lub zamienić zielonawą i zmienną barwę moich oczu na jednostajny i czysty błękit jego źrenicy.

Z tem wszystkiem, praca ta była o tyle skuteczna, że traciłam coraz bardziéj ową wesołość, któréj się okazywał zawsze tak nieprzyjazny, a przychodziło mi to z tem większą łatwością, że niepodobieństwo dowiedzenia się czegośkolwiek pewnego o Rochesterze, napełniało moją duszę smutkiem, który z każdym dniem się powiększał. Kilka razy korzystając ze stosunków listownych jakie miewałam z panem Briggs, z powodu moich interesów, prosiłam go aby doniósł o zdrowiu i o teraźniejszym miejscu pobytu mojego dawnego pana. Ale pan Briggs nie miewał stosunków z mieszkańcami Thornfieldu i nie mógł mi udzielić żadnego w tym względzie objaśnienia.

Nie mogąc nic uzyskać tą drogą udałam się do pani Fairfax. Pierwszy mój list pozostał bez odpowiedzi. Po dwóch miesiącach, napisałam znowu; miesiąc upłynął, potem dwa, nareszcie pół roku, bez najmniejszéj odpowiedzi, aż nareszcie odstąpiła mnie tyle razy zawiedziona nadzieja, pozostawiając po sobie głęboki smutek, który starannie skrywałam w głębi serca.

Pewnego poranku, Saint-John zawołał mnie jak zwykle na lekcję indostańskiego języka. Przed chwilą odebrałam list w którym spodziewałam się ważnych objaśnień, ale było to pismo pana Briggs, wyłącznie poświęcone pieniężnym interesom. Zrobiło mi to wielką przykrość i dlatego mimowolnie wzdychałam podczas lekcji, a w końcu łzy mi popłynęły mimowolnie. Saint-John nie zdawał się z razu spostrzegać tego, wkrótce jednak zamknął książkę i rzekł:

— Joanno, nie jesteś dzisiaj usposobioną do pracy, pójdziemy się przejść.

— Dobrze, zawołam Marję i Dianę.

— Nie trzeba, chcę być sam na sam z tobą.

Ponieważ w tem żądaniu nie było nic takiego coby

mogło usprawiedliwić opór z mojéj strony, usłuchałam go w milczeniu, i w krótce przechadzaliśmy się pośród doliny, po miękkim i zielonym mchu przetykanym rozkwitłą tu i owdzie białą i różową stokrocią. Doszliśmy niedługo do końca wąwozu, a przed nami co raz wyżéj piętrzyły się wzgórza. Tu Saint-John zatrzymał się a ja usiadłam na odłamku skały mchem obrosłym. Mój towarzysz zdjął kapelusz i wiatr począł igrać z jego czarnemi włosami. Wzrok jego to błądził po górach, to zniżał się ku wodzie bliskiego potoku, ale zawsze wracał ku błękitnéj przestrzeni niebios w któréj zdawał się tonąć z upodobaniem. Odgadywałam w jego spojrzeniu uczucia człowieka, który już zaznaje cierpień wygnańca i rzuca ostatnie pożegnanie téj ojczyznie, któréj niezatarte wspomnienie zabierze z sobą w odległe krainy. Milczeliśmy przez czas dość długi, nareszcie rzekł do mnie:

— Joanno, wyjeżdżam za sześć tygodni, moje miejsce już jest zamówione na okręcie, który ma odpłynąć siodmego Czerwca z Anglji.

— Bóg nie odstąpi swojego gorliwego sługi, odpowiedziałam spokojnie.

— Liczę też z niezachwianą ufnością na pomoc Pana Wszechmocnego i uważam za chwałę i za najwyższą radość nie służyć na tym świecie nikomu jak tylko Temu w którym się mieści wszelka doskonałość... To tylko zdaje mi się dziwnem że wszystko co mnie otacza nie śpieszy razem ze mną pod Jego chlubną chorągiew.

— Nie każdemu dana odwaga równa twojéj, byłoby zatem szaleństwem u słabych, porywać się do pracy która jest tylko silnych udziałem.

— Mało się troszczę o słabych i nie o nich tu chcę mówić, ale o tych którzy są godni wybrania i stworzeni do uczestniczenia w wielkiem dziele.

— Niewielu jest takich na ziemi, ztąd nie łatwo ich wynaleść.

— Mówisz prawdę, ale dla tego właśnie, skoro się udało napotkać którego z nich, a nie wie o sobie, należy go zwiastować jemu samemu, przyzwać go do szlachetnych trudów, wskazać mu nagrodę, którą Bóg dla niego chowa w gronie swoich wybranych.

Czułam jakby jakiś urok czarodziejski obejmujący mnie zewsząd i drżałam, choć nie rozumiałam jeszcze, sama, jakiego rodzaju niebezpieczeństwo mi groziło. Saint-John mówił daléj:

— Czyliż samo serce nie powinno wzywać do tak wielkiego posłannictwa tych, których dusza jest jego godną?

Tu zatrzymał nademną wzrok dotychczas błędny i utkwił swe oczy w moich.

— Cóż tedy Joanno, rzekł, co mówi twoje serce.

— Nic!... nic!... zawołałam przejęta najwyższą trwogą i mogąc zaledwie dobyć głos z piersi.

Twarz jego przybrała wyraz natchniony i nieubłagany:

— Więc do mnie należy przemówić w jego imieniu rzekł głosem silnym, którego dźwięk uroczysty powtórzyły pobliskie skały... Joanno, wybierz się ze mną do Indji... Bądź moją towarzyszką, uczestniczką moich trudów!...

Dolina i niebo zdawały się krążyć wirem po nad moją głową i pod mojemi stopami. Niby sam Przedwieczny przemówił, niby usłyszałam głos jednego z tych posłanników niebieskich, którym nie mogli się oprzeć wskazani od Boga apostołowie... Ale nie było we mnie ducha apostołów i rozkaz ten nie znalazł mię gotową do posłuszeństwa.

— Saint-Johnie! Saint-Johnie! zawołałam, miéj litość nademną!...

Ale odzywałam się do człowieka, który nieznał litości tam gdzie szło o dopełnienie tego co uważał za obowiązek.

— Bóg cię stworzył za małżonkę missjonarza, mówił daléj. Nie masz piękności ciała, ale otrzymałaś natomiast hart duszy i siłę umysłu. Urodziłaś się do świętéj pracy; Joanno wierzaj mi, nie jestem samolubny, prosząc cię abyś została moją żoną, nie czynię tego dla serca swego, ale dla usługi mojego Pana, który jest w Niebiosach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZATARGI O POMORZE

WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA Z KRZYŻAKAMI.

Kiedy Wacław II król Czeski roszczący prawa do dziedziczności ziem składających ówczasową Polskę, został zamordowany w r. 1306, w czasie przygotowywań wojennych pod Ołomuńcem, wtenczas naród widząc ustępujących Czechów, zwrócił się do Władysława Łokietka książęcia Łęczyckiego i Kujawskiego i powitał przybywającego z oznakami największéj radości. Łokietek mądry doświadczeniem, tułactwem i przebytemi nieszczęściami, przedewszystkiem pomyślał o ubezpieczeniu Pomorza.

W tym celu w r. 1308 przybył do Gdańska i zakrzątnął się żywo około spraw miejscowych, że zaś był to człowiek niezmiernie czynny i energiczny, niewiele zatem dawał baczenia na potężną rodzinę Święców, czem ją mocno przeciw sobie naraził szczególniéj zaś tem, że straż Gdańska nie jednemu z nich, ale Boguszowi powierzył. Łokietek, bowiem nie dowierzał Święcom, i uważał ich zawsze za stronników margrabiów Brandeburskich. Rozgniewani więc takiem pomijaniem i przewidując większe jeszcze upokorzenia, Święcowie zbliżyli się do margrabiów i rozpoczęli z nimi tajemne rokowania. Czujny i baczny na wszystko Łokietek, zawiadomiony o tem, niespodziewanie zjechał do Gdańska, i uwięziwszy Piotra Święcę głowę całéj rodziny, kazał go wywieść do Krakowa i osadzić pod ostrą strażą. Wkrótce jednak na prośbę młodszych braci uwolniony z więzienia, jak tylko powrócił do Gdańska, natychmiast wezwał margrabię Waldemara z wojskiem na Pomorze, który przy pomocy Święców opanował zamki Tucholę, Slawę, Rugenwald, Neuenberg, Święc, a potem i miasto Gdańsk. Zamek jednak osadzony rycerstwem przychylnem Łokietkowi nie chciał się poddać, chociaż był otoczony znacznie

przeważającemi siłami, ale Bogusz starota zamkowy widząc niepodobieństwo długiéj obrony, pospieszył do Łokietka przedstawiając konieczną potrzebę pomocy. Władysław bawiący wówczas w Sandomierzu przyrzekł ją, ale Bogusz lękając się aby nie przyszła za późno, doradził królowi wezwanie Krzyżaków. Była to rada zła, Łokietek długo wachał się, ale naglony przez Bogusza zgodził się wreszcie i upoważnił go do zawarcia stosownéj umowy.

Wielkim mistrzem, był wówczas Godfryd von Hohenlohe mieszkający w Wenecyi jako stolicy zakonu krzyżackiego, mistrzem zaś prowincyonalnym w kraju Pruskim był Henryk von Plotzke. Do niego to przybył Bogusz, a przedstawiwszy rzecz całą, chętnie bardzo przyjęty, otrzymał obietnicę współdziałania, jako w sprawie niezmiernie ważnéj, i przedstawiającéj dalsze korzyści dla zakonu. Stanęła zatem ugoda, mocą któréj obowiązali się krzyżacy wspólnie z Boguszem bronić zamku Gdańskiego o własnym koszcie, po upływie zaś roku miał nastąpić obrachunek, wypłata przypadającéj za pomoc należytości i opuszczenie zamku przez krzyżaków. Po zawarciu umowy, natychmiast szybko zabrano się do działania, i silny oddział wojska krzyżackiego z obfitemi zapasami żywności dostał rozkaz wkroczenia do zamku. Dla załogi wycieńczonéj i wygłodzonéj, była to pomoc niezmiernie pożądana, pokrzepiona więc podwójnie na ciele i na duchu, razem ze sprzymierzeńcami, wystąpiła do nowego boju i tak się dzielnie sprawiła, że margrabiowie odparci do miasta, wkrótce z niego ustąpić musieli a potem wreszcie z całego Pomorza.

W następnym roku 1309, krzyżacy zażądali zwrotu wyłożonych kosztów, które podnieśli do niezmiernéj cyfry bo wynoszącéj aż sto tysięcy grzywien czyli złp. dzisiejszych 3,833,333 gr. 10. Było to więc żądanie o wiele przenoszące możność nie jednego władcy ówczasowego a znacznie większe niż rzeczywiście udzielenie pomocy kosztowało. Łokietek należytości nie zaprzeczał, ale żądał obrachunku i sprawiedliwéj likwidacyi, tymbardziéj że krzyżacy wbrew umowie, coraz większe gromadzili do zamku siły, obudzając sprawiedliwą obawę, że i pieniądze wezmą i Gdańska nie opuszczą. Ztąd powstały niesnaski i nieporozumienia, a zamiary zagarnienia najprzód Gdańska a potem Pomorza, pragnąc krzyżacy jak najprędzéj przywieść do skutku, zaczęli Bogusza o pieniądze coraz bardziéj przyciskać, a potem okuli go w kajdany i załogę całą jako znakomicie mniejszą rozbroili. Bogusz żeby się wydobyć z tak przykrego położenia, przystał na pozostawienie całego zamku w ręku Krzyżaków, pod warunkiem jednak, iż powrócą go Łokietkowi wtenczas, gdy w należytości swéj zaspokojeni zostaną. Władysław przewidując zamiary krzyżackie, gromadził siły i przygotowywał się do przewidywanego boju, co dostrzegłszy Krzyżacy, niespodzianie napadli na samo miasto Gdańsk i sprawiwszy wielką rzeź między załogą dowodzoną przez Bogusza i mieszkańcami, obsadzili je swojem wojskiem. Władysław oburzony, powstrzymał jednak niecierpliwego ducha, bo znał potęgę zakonu, wymagającą wielkiéj roztropności i umiarkowania. Zażądał przeto porozumienia i skutkiem tego mistrz prowincyonalny Henryk von Plotzke zjechał się z Łokietkiem we wsi Krajowce położonéj w Kujawach blisko Radziejowa. Ale jeżeli Władysław miał najlepsze do zgody chęci, mistrzem Henrykiem inne zupełnie rządziły zamiary.

Ten bowiem nie tyle zgody pragnął, ile Pomorza jako stanowiącego dla zakonu połączenie z niemcami, od których głównie wspierany na wypadek wojny z Polską, przez Pomorze mógłby zostać odcięty. Na zrobione więc przedstawienie i odwołanie się do pierwiastkowéj umowy, mistrz Henryk oświadczył, iż od niéj nie odstępuje, ale żąda wypłaty przypadającéj mu należytości, Łokietek rozgniewał się niewymownie i mistrzowi zaczął robić gorzkie nader wyrzuty. Za cierpkie słowa równą się odpłacił cierpkością, ztąd nieporozumienie się powiększyło i umysły umawiających zajątrzyły się jeszcze bardziéj. Wojna zatem stawała się nieuchronną, krzyżacy byli do niéj zawsze gotowi, postarali się jednak o nine powody, któreby upór ich i działanie usprawiedliwiały. Przedewszystkiem więc postanowili o nabycie prawnego tytułu do posiadania Pomorza i w tym celu zwrócili się do jego panów jeżeli nie dziedzicznych, to przynajmniéj domagających się głośno takiego uznania.

Pomorze jak wszystkie ówczasowe w téj stronie dzielnice rządzone było przez udzielnych książąt, nad któremi zwierzchnictwo przyznawali sobie cesarze niemieccy jako nad ziemiami przez ich zabiegi zyskanemi dla wiary chrześcjańskiéj. Prawo zwierzchnictwa tego z pewnemi jednak zastrzeżeniami, cesarze mieli nadać margrabiom Brandeburskim, bliższym Pomorza i tem samem mogącym bliżéj czuwać nad sprawami tego księztwa w celu przyłączenia ich do swoich dzierżaw. Kiedy umarł Swiętopełk książe Pomorski, posiadłość swą rozdzielił między dwóch synów, i część większą oddał Mestwinowi a Gdańsk z kilku powiatami Wracisławowi, który z tego powodu przybrał tytuł księcia Gdańskiego. Ale zgoda braterska w owych czasach rzadką była, jak powiada przysłowie starożytnych Rzymian, oba więc bracia objąwszy swe posiadłości, przedewszystkiem zaczęli myśleć o zagarnieniu całego ojcowskiego dziedzictwa a to głównie przy pomocy margrabiów Brandeburskich. W tym celu Wracisław ożenił się z córką Ottona jedného z margrabiów, a Mestwin oddał wszystkie swe dobra w ręce tychże książąt, oświadczając iż je przyjmuje od nich tytułem lenności, przyrzekając hołd przynależny. Związki te, wzajemną braci niechęć jeszcze bardziéj powiększyły, tak dalece, że Mestwin z uzbrojonemi zastępami napadł niespodzianie Gdańsk i opanował go, ale napaść ta na złe mu wyszła, bo Wracisław pochwycił go i osadził w więzieniu. Nie korzystał jednak z tego szczęśliwego dla siebie zdarzenia, i objąwszy Gdańsk znowu w posiadanie, brata wypuścił na wolność. Mestwin zawiedzony w nadziejach, a nie wyrzekając się zamiaru zajęcia całego Pomorza i pałając duchem nienawiści, ofiarował margrabiom Gdańsk na własność, z warunkiem udzielenia pomocy przeciw bratu. Wracisław widząc niebezpieczeństwo, udał się o pomoc do teścia swego Ottona, obiecując zapłacić wszelkie koszta wojenne i wydać Gdańsk z przyległościami margrabiom w zastaw, aż do całkowitego ich zaspokojenia. Była to zatem ofiara korzystniejsza, bo Gdańsk odrazu wchodził w posiadanie margrabiów, i dla tego oświadczyli się przeciw Mestwinowi udzielającemu tylko nadzieję. Nie zwlekając więc, wyruszyli natychmiast pod

Gdańsk i zajęli zamek i miasto. Mestwin dowiedziawszy się o tem, zajął resztę posiadłości brata, a nie mając sił dostatecznych do obrony, wezwał w pomoc Bolesława księcia Poznańskiego i Kaliskiego, pana bardzo potężnego i szukającego tylko sposobności do zemszczenia się na margrabi Konradzie a swoim szwagrze za poróżnienie się z siostrą.

Bolesław ucieszony chętnie przyrzekł udzielenie pomocy, czem przestraszeni margrabowie, i pragnąc wycofać się z niebezpiecznego powodzenia, zaczeli nalegać na Wracisława o zwrot przypadającéj im za pomoc należytości, grożąc że w razie ociągania się wydadzą Gdańsk na rabunek żołdactwa. Wracisław opuszczony nawet przez teścia i nie mając pieniędzy, uciekł do Pruss i prosił w Elblągu o pocom Krzyżaków, ale ci zajęci uspokojeniem miejscowych rozruchów, odmówili wszelkiego wystąpienia, czem Wracisław tak się zmartwił, że zapadł w chorobę i wyrzekając na zdradę i opuszczenie umarł. Tymczasem Bolesław razem z Mestwinem odebrał Gdańsk margrabiom i tym sposobem Mestwin stał się panem całego Pomorza.

Zdobyczą tą jednak nie długo się cieszył, bo Wracisław umierając przelał swe prawa do ziemi Pomorskiéj i Gdańska na stryjecznego swego brata Wizimierza, skutkiem niesnasek rodzinnych znajdującego się wówczas u Krzyżaków, zawsze chętnie udzielającym przytułku wszystkim waśniącym się książętom Pomorskim. Obdarowanie Wizimirza jakkolwiek jest tylko domysłem historycznym, nie popartym żadnym dokumentem, zdaje się jednak być pewnem, gdyż w r. 1292 Wizimierz był widocznie panem Gdańska, kiedy znajduje się z tego roku przywiléj, wydany mieszkańcom Elblonga, na wolną w posiadłościach jego żeglugę. Jaką drogą doszedł do téj własności historja milczy, ale przechowała wiadomość o dalszych czynnościach Wizimierza, który razem z Gdańskiem odziedziczył całą nienawiść Wracisława ku Mestwinowowi.

(d. n)

Kronika zagraniczna.

Miłe ale i kłopotliwe jest po dziś dzień zadanie kronikarza literatury zagranicznéj: miłe dla tego, że liczyć może poniekąd na pobłażliwość, bo któryż ze spadkobierców kronikarkiéj ułomności dziewiętnastego stulecia, nie exploatował tych miłych zalet swych Czytelniczek? co zaś dotyczy kłopotliwego położenia, to mamy tu na myśli bujną obfitość i różnorodność materjału, jaki nam nastręcza każda wycieczka w dziedzinę objawów literatury zagranicznéj.

Pomijając mnóstwo dzieł poważnych i ulotnych, któremi sama Anglia i Niemcy zaspokoićby zdołały wymagania najsurowszych nawet krytyków, tych zimnych i nieubłaganie poważnych stróżów nowoczesnéj oświaty, tych wyrokodawców życia i śmierci, sławy lub smutnego rozczarowania autorów, tych ponurych i posągowych wyroczni, tych zawistnych monopolistów dobrego i złego, wielkości i upadku, prawa lub bezprawia literackiego, pomijając bogatą w utwory Anglią i Niemcy, wystarczy na disiaj obejrzeć się po świecie umysłowego ruchu w saméj tylko Francji.

Słusznie powiedział ktoś, że chcąc poznać dokłanie ludowy charakter narodu, trzeba być koniecznie na ulubionych widowiskach jego. Usposobienie narodu hiszpańskiego uwydatnia się w walce byków; usposobienie narodu angielskiego w walce boxerów i mityngach; gwałtowna ale i artystyczna dążność ludu włoskiego w uroczystościach religijnych, w śpiewie i operach; chcąc zaś poznać Francuza, jego wrażliwą, bujną i niespokojną wyobraźnię, trzeba go widzieć na przeglądach wojskowych i na scenie.

Scena, to ważny nader czynnik umysłowego rozwoju i ukształcenia społecznego. Czemże ona dopiero we Francji być musi, gdzie jest tak wiernem odzwierciedleniem ducha i dążności całego narodu i uobrazowaniem istoty społeczeństwa. Prawda, że któryś ze złośliwych sąsiadów dla żartu czy też dla osłabienia wpływu oświaty francuzkiéj, nazwał francuzów narodem aktorów; ależ właśnie owo quolibet ościennéj krytyki zawierało w sobie może więcéj nieco prawdy, aniżeli zawistni ci krytycy sami o tem myśleli, i jakoś mimowoli złościwemi uwagami swemi przynależną oddali pochwałę scenicznemu usposobieniu narodu francuzkiego.

We Francyi, wszystko nieomal nachyla się do pewnéj akcyi dramatycznéj: szybko odżywa, szybko się rozwija, działa, i w tejże saméj chwili nowemu miejsca ustępuje. W Anglii atoli i Niemczech, i u nas może, przeważa skłonność do praktycznego stosowania, do marzeń i zadumy.

Prawda, naród francuzki jest rzeczywiście narodem aktorów, ale to są właśnie jego dobre, bogate, czarujące strony, i gdziekolwiek się ruszy, co pomyśli, co czynić zamierza, wszędzie przebija dążność sceniczna, całe życie jego, to żywy obraz ducha i myśli. Przedmiota nawet najzimniejsze, martwe, posągowe, odtwarza natura francuzka w żywych i porywających kształtach.

To naród, który nie zważa na to, co się rzekło, lecz jak się rzekło, który nie czyta, nie deklamuje idej, ale je rozumie dopiero w żywem słowie osób na scenie występujących.

Chcąc poznać namiętne usposobienie Francuzów dla sceny, wystarczy pójść na przedstawienie ulubionéj dramy; przypatrzeć się tym massom widzów, zlanych w jedną duszę, jednem żyjących tętnem, gorejących zapałem jednéj myśli, jednego zachwycenia; wystarczy doznać wrażenia panującéj tamże ciszy, téj namiętnéj strony Francuza, przerywanéj jedynie krótkiemi okrzykami zapału, gniewu lub żalu; wystarczy odczuć zadziwiającą władze realizowania rzucanych ze sceny idéj, i odczuwania ich w życiu, które... nigdy istnieć nie mogło; jedna taka chwila, ujęta z przedstawienia, zaznajomiłaby nas nieporównanie lepiéj z życiem i usposobieniem scenicznem Francuzów, aniżeli tomy głębokich spostrzeżeń. Niejedna z Czytelniczek naszych miała sposobność przypatrzeć się widzom sceny paryzkiéj: ta gra uczuć, te łyskające przeloty myśli i wrażeń, te gesta, ta charkterystyczna intonacya okrzyków, nie sąże to wymowne objawy bujnéj, świetlanéj wyobraźni narodu francuzkiego, tak ożywczéj i na scenie i w domu, i w pracy i wypoczynku?

I nic dziwnego, że komedyo-drama, odegrana po raz pierwszy przed kilku tygodniami na scenie kome-

dyi paryzkiéj tak silnie poruszyła Paryżan; mówimy tu o udatnéj komedyodramie Emila Girardina, „*Katusze kobiety*“ *(Supplice d'une femme).*

Zanim przejdziemy do pobieżnego rozbioru *Katusz kobiety*, dorzucimy kilka słów o przedziwnie charakterystycznem usposobieniu Francuzów, ilekroć ono przebija się w płodach pióra rodzinnego. Nic łatwiejszego, jak pomówić pisarzy francuzkich o niewłaściwość i nieloiczność w rzucaniu myśli i wrażeń. Bo też igrając przerzucają się z przedmiotu w przedmiot, z myśli do myśli; umieją nas zająć poważnie ale z uśmiechem na ustach, umieją podumać, posmutnieć, ale z wyrazem wiecznie swawolnym, rzekłbyś pustym; to znów porywają za sobą, jest się tu i tam, widzi się przedmiota i doznaje wrażeń, o których się ani marzyło; ślizgają się, nie dotykając powierzchni, drasną nawet, ale nie ranią, o wszystkiem mówią i piszą, o wszystko potrącą ubocznie, wszystko im zarówno, czy filozofia, czy polityka, czy Scribe czy Beccaria, czy biblia czy... Volter.

Komedyodrama Emila Girardina, jakkolwiek zarysem typu obyczajowego nie zbiża się prawie w niczem do historyi i wymagań nowoczesnéj komedyi francuzkiéj, to przecież nieposполicie zajaśniała na scenie paryzkiéj i zdobyła sobie silne i trwałe stanowisko. Wiadomo, że Emil Girardin autor *Katusz kobiety*, jest z powołania publicystą, a jakże to daleko od publicystyki do komedyodramy, mianowicie we Francyi, gdzie krytyka powszednia, krytyta puryzmu odmawia np. malarzowi uzdatnienia literackiego, a powieściopisarzowi politykiem być niepozwoli; co zaś najbardziéj zadziwia, to owa niewyrozumiałość na ludzi stanu, na ekonomistów i publicystów, którym nigdy, przenigdy nie wolno być komedyopisarzami.

A jednakże Emil Girardin, publicysta czystéj krwi, zaskoczył tak z nienacka purystów bieżącéj literatury, że zamilkły najzawistniesze pióra krytyków. Jego *Katusze kobiety* doznały tak ogromnego powodzenia, jakiego oddawna żadna komedyodrama nie miała: to najlepsza odpowiedź na monopolizowanie uzdatnienia pisarskiego.

Tło téj komedyodramy nie jest obszerne. Osnowa krótka i prosta, Emil Girardin wprowadza na scenę kobietę, łudzącą przez kilka lat męża, który ją ubóstwia, ceni i otacza wszystkiem tem, na co tylko życie nowoczesne, na co roszkosz i dostatek, miłość i pieszczoty zdobyć się mogą. Otóż ta dobroć, ta szczera, niezmienna miłość małżonka, jego tkroskliwe zabiegi około żony i córki jedynaczki, jego szczęście o którem marzył na każdym kroku, otóż to jest właśnie, co niewierną żonę długie dręczyły lata, co jéj spocząć nie pozwoliło, i co ją ostatecznie spowodowało do zrzucenia maski i zeznania strasznéj prawdy:... korząc się przed mężem, oddając mu nawet miłosny list kochanka!

Rzecz nie kończy się pojednaniem, ni też (najużywańszem dotąd) tradycznem następstwem, ale rozwija się spokojnie. Mąż wydala żonę, zwraca jéj posag, oddając ją tem samem na łup tysiąca domysłów, ile że nikt po tak pozornie szczęśliwem ich pożyciu, nie mógł pojąć powodów téj nagłéj jak piorun katastrofy.

Kara kobiety dobrze i po mistrzowsku odszkicowana. Wiecież, co to są katusze kobiety?... jestto zadawać ustawicznie kłam miłości i godności kobiety i żony, nasamprzód w obec męża, który ją pieszczotami otacza a którego ona niekochać nie może, a potem w obec kochanka, którego w końcu nienawidzi i unika; dręczy ją szczęcie męża, ale i dręczy gniew, groźby i zemsta rywala; nieraz, gdy z rozpaczy łza w oku się zakręci, ona uśmiechać się musi, i choćby nawet lica szczęściem zajaśnieć pragnęły, to gdzież go szukać...?

Możesz-li być piękniejszy, spokojniejszy morał w komedyodramie? To morał nowy, nie osłuchany, bo uczucia prawdziwe, wzruszenia potężne, zawsze nowemi pozostaną.

Spyta może niejedna z Czytelniczek, czy morał tak prosty ale tem straszniejszy, ma miejsce w sztuce w ogóle, a na scenie po szczególe? Zapewne. Jak w życiu, tak w sztuce i na scenie zapanowała idea morału, od czasu mianowicie, kiedy Szeskpir, a dziś Wiktor Hugo, przedstawili nam złe w świetle czystéj, jaskrawéj prawdy, i na odszkicowanie złego najpotężniejszych użyli sprężyn.

Bo też na scenie, jak w życiu, nie idzie o igraszki, ale o życie istotne, pełne czystéj i żywéj prawdy.

Katusze kobiety, to już nie kaprysy, ale tortury duszy..., i w tem to szukać należy przyczyn szalonego powodzenia, jakiego owa komedyodrama doznała na scenie paryzkiéj. Niemasz tam biesiad szczęścia, ale i niemasz gorzkiéj mizantropii: autor odsłania, z niezwykłą odwagą odwieczną prawdę, że wpożyciu domowem, nawet wśród wszystkich warunków roskoszy i szczęścia, kryją się tak często błędy całego społeczeństwa.

Utwór ten ma serce. Szlachetna postać zawiedzionego małżonka, i obraz kobiety mogącéj nawet w upadku zostać wzorem cnoty, to są te szczytne myśli, które raniąc serce, koją je zarazem, podnosząc ideje lepszego życia...

— Przejdźmy do innéj sceny, do opery francuzkiéj, również wielkiéj jak komedya, również potężnéj i wspaniałéj. Opera paryzka, począwszy od Lull'iego do Glucka, i od Glucka do Meyerbeera jest owym przybytkiem dramatu, tą prawdziwą akademią, otwartą dla wszystkich geniuszów europejskich, w któréj kojarzą się szczęśliwie muzyczne utwory całego świata. Do szeregu zasług, jakie opera paryzka położyła około rozwoju i rozpowszechnieniu arcydzieł muzyki, policzyć należy przedstawienie ostatniego utworu Meyerbeera, opery pięcio-aktowéj: „*Afrykanka*“. Było to najulubieńsze dzieło zgasłego kompozytora; niestety, śmierć nieubłagana nie pozwoliła mu doczekać się pierwszego przedstawienia. Nie ulega wątpliwości, że, gdyby Meyerbeer był zdołał wprowadzić osobiście ostatnie to dzieło na scenę paryzką, powodzenie jego byłoby nieskończenie większe i prawdziwsze; jakkolwiek i z drugiéj strony opera paryzka uściła się jak najchlubniéj z powierzonego sobie zadania, poruczając losy *Afrykanki* najgenialniejszym artystom, a nie ścieśniając, w niczem olbrzymich rozmiarów utworu.

Z tego wszystkiego, co dotąd napisano o pierwszem przedstawieniu *Afrykanki*, pokazuje się, że dzieło to pomimo ogromnych rozmiarów i większéj jeszcze pracy kompozytora, nie wyrównywa Robertowi Djabłowi, Hugenotom i Prorokowi, tym trzem potężnym objawom geniuszu Meyerbeera. *Afrykanka* nie zna-

mionuje się ową wzniosłością tak twórczą, tak zdrowo poczętą i tak wspaniałą, jaka się przebija w Hugenotach lub Proroku, w których Meyerbeer wystąpił przed światem jako geniusz, zawsze ten sam, zawsze wielki i wzniosły.

Afrykanka ma atoli swe dobre strony, znamionujące Meyerbeera tak wydatnie we wszystkich kompozycyach jego. Śmiało rzec można, że i w *Afrykance* wszelkie dane tak dramatu jak i muzyki obmyślane są i opracowane z tą samą jak zwykle sumiennością; niemasz tam pewno pustych przebłysków, niemasz i nuty napróżno spisanéj, zwłaszcza że Meyerbeer bezbarwnemi drobiazgami posiłkować się nie lubił, lecz przy całéj sile twórczego geniuszu umiał być nie porównanie sumiennym, szanującym przepisy sztuki i smaku, krytyki i wymagań nowoczesnych. Nie zna on bezładnych wybryków fantazyi, ale i dalekim jest od piramidalnéj, potwornéj muzyki współzawodnika swego Wagnera. Podobało się Niemcom nazwać muzykę Wagnera muzyką „*przyszłości*“, a my nazwiemy muzykę Meyerbeera muzyką „*wieków*.“ Na wysłuchanie opery Wagnera składać się musi głęboka znajomość muzyki i nadludzka cierpliwość, na wysłuchanie opery Meyerbeera potrzeba tylko serca i wrażliwéj duszy. W Wagnerze widzimy posągi, w Meyerbeerze duszne postacie. Wagner zachwyca znawców, Meyerbeer oczarowywa wszystkich. Wagnera muzyka jest artystyczną tkanką wygórowanéj harmonii, muzyka Meyerbeera jest poważną ale i perlistą, lekką i szczęśliwie spowitą harmonią tonów i myśli.

Dzielny i tkliwy umysł Meyerbeera przewiduje i usuwa największe trudności, i zgłębia najskrytsze tajniki umiejętności dramatycznéj. Jako dziecię północy, a wychowanek południa, odznaczał się zarówno głębokiem pojęciem ideału jak i rzeczywistości.

Jakże miłem jest uczucie, kiedy się widzi tak genialnego artystę, stojącego nad grobem a rzucającego jeszcze hojną ręką ten dar boży pomiędzy dusze spragnione czystych i wzniosłych myśli. Ktoś inny, mniéj wielki i mniéj poważny, byłby może spoczął na zdobytych za młodu laurach, ale twórca Hugenotów wierzył inaczéj w prawdę: gonił za nią z zapałem i poświęceniem, dla niéj żył i dla niéj o sobie zapomniał.

August Jeske.

Kronika literacka.

Ks. Jana Długosza żywot Świętego Stanisława Biskupa Krakowskiego. Z orginału łacińskiego przełożył ks. Ludwik Feliks Karczewski. Kraków, 1865 r. Cena 13 złp. 10 gr.

Prababki nieznały innych książek jak modlitewniki i żywoty Świętych Pańskich, skąd czerpały wzory pobożności i ową surową karność obyczajów stojącą na straży domowego ogniska. Nie pragniemy kobiety zamknąć wyłącznie w tych szrankach, wiemy, że do wszechstronnego urobienia umysłu i serca godzi się i potrzeba niewiastom dzieł historycznych, lub obrabiających w odpowiedniéj formie kwestye życia społecznego lub wiedzy, ale życzylibyśmy i bardzo, aby żywoty Świętych Pańskich znalazły się w rękach młodego pokolenia częściéj, niżeli nie jedno romansidło. Żywot zaś Świętego Stanisława ma dla nas szczególny urok i interes, bo on jest naszym Patronem, on wstawiennictwem swojem tyle łask tyle cudów sprawił.

Żywot Ś-go Stanisława opowiedziany przez Długosza wytłumaczył z łacińskiego ks. Karczewski penitencyarz Śtéj Anny w Krakowie, a dokonał tego pięknym językiem odpowiadającym powadze oryginału. Oprócz żywotu Ś-go Stanisława mieszczą się tu także żywoty Ś-go Wojciecha, Floryana, Wacława, Zygmunta i innych patronów, których Złota Legenda (Legenda aurea) zwana niekiedy Skarbem ubogich niepomieściła. Długosz ją dopełnił z całym zasobem pracy i erudycyi właściwéj temu mężowi.

Pogadanka Tygodniowa.

Z nową szatą w jakiéj dziś Tygodnik występuje, możeby wypadało otrząść się z satyrycznego mantyctwa i przemawiać odtąd słówkami dyplomatycznego ugrzecznienia, gruchać podziwem, kwilić uwielbieniem, świegolić pieszczotą, wszystko chwalić, nikogo nie drasnąć, i każdego patentować na olbrzyma doskonałości. W podobnie arlekińskim stroju paryzkiego galanta, harmonijnym brzękiem słów, można zadziwić... i uśpić, ale rola to nie dla Waszego gawędziarza, do któréj na prawdę, tak czuję się zdatnym jak... przebaczcie wyrażeniu, gęś do tańca lub djabeł na organistę. Porzucam więc ją, drąc na szmatki przystrój literackiego pajaca; blaszki, fraszki i świecidełka, rozrzucam na wsze strony świata, wraz z całym przyborem owych lekkich, puchowatych słówek, co zdala niby gwiazdki i motylki, a zbliska... papierowe skrawki ułożone zręczną ręką pracownicy.

Otoczony wonnem powietrzem pól naszych, widniejących zdala kopułką wiejskiego kościoła, krzyżem na rozdrożu, bieluchnym dworkiem, przez okienka spoglądającym w dalekie obszary, majaczejących cienistym latem, kłosistą niwą lub barwistą łączką, my-

(Dodatek).

ślą nie przestanę się błąkać po nad tym sielskim obrazem, a podsłuchując gwaru mozolnego Waszego życia, łzę przyjmę ze wspułczuciem, uśmiech z radością, a trosce poniosę słowo pociechy, serdecznéj, braterskiéj. W téj wiązance słów i myśli, kwiatkom oddając pierwszeństwo, wskażę wam kolce i chwasty dla przestrogi i choćby zabawy... czasami w ponuréj zadumie przejdę po zapuszczonych obszarach, rozmówię się z omszałym dębem, przywołam echa i przysłucham szmerowi strumienia lub szumowi puszczy leśnéj, jęczącéj wiosennem kukaniem zuzuli. Zostanę więc tym samym czem byłem dotąd. Będzie to lepianka z patyczków, z nieociosanych okrąglaków jak winetka do niéj tytułowa, ale sklecona cementem myśli koło Was wiecznie krążącéj, z cegiełek pozbieranych przy domowem ognisku rodzin Waszych. i oświetlona promykiem wybiegającym z serca.

Przykro mi niewymownie, że w téj pierwszéj w nowym przysroju pogadance, obdarzyć Was muszę nie nader miłemi wiadomościami. Ze wszystkich bowiem stron, z każdego niemal kątka skarżą się na zbyteczne susze i małe ztąd widoki urodzajów.

W niektórych miejscowościach padła zaraza na bydło, w innych bardzo odchodziły owce, ztąd artykuły żywności niezmiernie drożeją, i w Warszawie za funt masła płaciemy półtrzecia złotego, a za funt wołowiny lub cielęciny gr. 23. Skopowina w cenie wszystkie inne przechodzi produkta, bo już panowie rzeźnicy Warszawscy nie chcą ją jak dotąd przedawać na wagę ale na oko, nie wachając się za cztero funtowy kawałek żądać rubla całego.

Zniesienie taksy dla piekarzy, cenę chleba o jeden grosz na funcie podrożyło, z mięsem od 1 Lipca stanie się to samo, i funt jego pewno dojdzie do złotego. Dla mięsożernych więc Warszawiaków, widoki nie najpocieszniejsze tymbardziéj, że i piwo już o grosz trzeba drożéj płacić. Dławiąc się tak drogiemi kąskami i łykami, Warszawa za to zachwyca się śpiewem nabożnym wędrownych pielgrzymów spieszących na odpust do Częstochowy; koncertami muzyki kościelnéj na korzyść Towarzystwa Dobroczynności: popisami publicznemi sierot tegoż Towarzystwa: zamierzonem oświetleniem Pragi gazem: mlekiem i cieniem. Świętokrzyzkiego folwarku i zawsze prześlicznym ogrodem Saskim, który na leniwy postęp wprowadzonych upiększeń i ciągle niemiłe jakieś fabryki, że nieskończywszy jednéj, natychmiast rozpoczął drugą przy wodociągu, trzecią przy nasypce chodników, a roboty około kopca i dolinki zupełnie zawiesił. Brukarze także przestraszeni mojemi dąsami na wysypywanie bruków piaskiem, szaloną jazdą przemieniającym późniéj Warszawę w zamgloną piekielnie duszącą jaskinię, dla zamydlania oczu przy oddawaniu roboty, wysypują teraz gruzem ceglanym, który ma tę nieocenioną zasługę, że utrzymuje się dłużéj, lepiéj jakoś kręci w nosie, w gardle dzielniéj szczypie, i jako czerwony już zdaleka bije w oczy.

Długim za to sukniom damskim koniec panowania, bo posłuchajcie co w tym przedmiocie donoszą z Paryża.

Sielskie zabawy, powiada korrespondent, stały się teraz nowomodnym zbytkiem stolicy. Zaproszeni przybywają ekstrapocztą z dzwonkami i trzaskaniem bicza, etykieta bowiem takiéj wymaga uprzęży, spoglądając krzywo na przybywających własnemi końmi lub prozaiczną koleją żelazną. Toalety wiejskie *prostotą* udaną, zaciemniają przepych balowych przyborów, wprawdzie dyamenty pochowano, ale białe suknie i wstążki jaskrawe, gierlandy kwiatów i złoto kapiące z warkoczy tworzą tęcze promienniejsze od blasku rubinów i brylantów. Z wiejskiemi temi wycieczkami, zawitała także i nowa moda, którą warto wynieść pod niebiosy. Kobiety wystąpiły w krótkich sukniach, i niedotykające ziemi, umiarkowane w rozmiarach, zostały przyjęte w Paryżu na ubiór dzienny. W takiéj sukni gładkiéj, w stosownym paletocie najprostszego kroju i kapeluszu okrągłym, wykwintna Paryżanka odbywa dzienne wizyty, przechadzki, krząta się około domu i interesów. Suknia obszerna, powłóczysta z garniturami i przydaktami, oraz kapelusz strojny podwiązany pod brodę, pozostały w garderobie jako ubiór wieczorny, salonowy lub teatralny.

Pomysł ten praktyczny zaledwie rzucono, przyjął się natychmiast odrazu, i festony spadły jak obcięte gałęzie szpalerów. Paryżanki pozbywszy się ciężaru stąpają jak sylfidy lekko i szparko, uwolnione od nieznośnych pętów, które każdy ruch utrudniały i piętnowały jako liberyę zbytku i próżniactwa. Na ostatnich wiosennych wyścigach na Longchamp jako na zabawie dziennéj, krótkie suknie były w wielkim komplecie. To przeobrażenie mody, mile uderzało zwolenników prostoty i praktyczności.

Wprawdzie zmiana ta, wymaga dwóch ubiorów różnego kroju, cóś jak fraka u mężczyzn i paltota, jednego do roboty drugiego do zabawy, ale czyby się u nas nie dała zastąpić, utrzymaniem festonów na miasto a rozpuszczaniem sukni w domu? Pomyślcie o tem moje Czytelniczki, bo wierzajcie mi, że długie wlokące się suknie na chodnikach miejskich nieznośną dla przechodniów stanowią zawadę i zmuszają ich do przydeptywania, albo do ciągłego schodzenia na ulicę, co zawsze jest bardzo niemiłe i niedogodne a często niebezpieczne.

Sądząc z przeszłości o przyszłości, czyli mówiąc mniéj filozoficznie, ze zdumiewającego wpływu prassy perjodycznéj na bruk i ogród Saski, mam błogą nadzieję, że stanie się przeciwnie, i salon cieszyć się będzie festonami, a ulice smucić dwa razy więcéj wlokącemi sukniami; ale choć do płci brzydkiéj należemy, zasługujemy jednak na pewne choćby malutkie Wasze względy, co więc nie zrobicie dla Janka z Bielca, zróbciesz to dla całego narodu męzkiego, wreszcie dla Waszych płuc, oczu i powonienia, którym pył uliczny musi również i Wam dokuczać.

Gronko panieńskie które ukłułem piórkiem gawędziarskiem, za częste zaklinanie się na Bozię, Mamę, jak pragnę szczęścia, już się znacznie poprawiło, bo dodatki te niepotrzebne wymawia tylko w połowie i nagle ucina... rumieniąc się i spoglądając ku mnie nieśmiało; nawet pan Władysław swojem słowem honoru dławi się już i ksztusi, czyżbyście więc mniéj względne były na pokorną moją prośbę?

O UBIORACH

Mody Zagraniczne.

Petit courier des dames. Na szarfy i do ubrania kapeluszy, bardzo używana w tym roku wstążka biała lub mais w drobne paseczki aksamitne, w kolorach: fijołkowym, niebieskim, pąsowym albo czarnym.

Woaliki maleńkie ciągle się utrzymują. Wiele noszą białych obszytych blondynką albo też lekką frendzlą z białéj szneli.

Do okrycia na ulicę powszechnie przyjęte chustki z czarnéj wełnianéj koronki, zwanéj *Lama*, widać także podobne rotondy, bardzo długie.

Kaftaniczki z koronki lub gipiury czarnéj, bardzo używane w pokoju do lekkich sukien, równie jak chusteczki z końcami *Marie Antoinette* przewiązane z tyłu.

Do rannego i codziennego ubrania, noszą zawsze pończochy gładkie kolorowe, zastosowane do koloru sukni, lub też w drobne paski. Do ubrania używają białych, z haftowanemi kolorowo klinikami.

Materje letnie w drobne podłużne paski, najwięcéj noszone w tym roku. Widać także wiele sukien zupełnie gładkich. Do lekkich jedwabnych sukien, noszą czarny jedwabny paletocik, przybrany ruszą jedwabną, koronką, lub pasmanterją.

Przytaczamy tu dwie lekkie wełniane suknie, odznaczające się prawdziwie dobrym gustem. Jedna z nich szara z koziéj wełny *(fil de chèvre)* zupełnie gładka, ma u dołu wycięte zęby, objęte materyą w tymże samym kolorze, na zszyciu każdego bryta spadają takież szarfy, przeznaczone do podpięcia sukni, objęte wązką pliską jedwabną. Miejsce stanika zastępuje krótki paletocik o trzech szwach, wycięty w zęby, spięty na guziki jedwabne.

Druga suknia *poil de chèvre* niebieska w białe podłużne paski, zakończona u dołu wąziuchną falbanką. Stanik do tego okrągły z baskiną, przypasaną niebieskim pasem.

W ubiorze dzisiejszym nie widać mięszaniny kolorów. W ogólności noszą kolory łagodne dla oka, pąsowy daleko mniéj używany, jak w roku zeszłym.

Najmodniejsze suknie popielate, *chamoi* i szare.

Spódniczki białe żaknotowe pod suknie powróciły do mody. Robią je w rozmaity sposób. Najwięcéj używane z dwoma falbankami karbowanemi lub w drobne zakładki. Spódniczka zawsze prawie obszyta u dołu koronką *Cluny* wązką na palec. Uważaliśmy także spódniczki bez falbanek, przybrane u dołu wstawką *Cluny*, po obu stronach wstawki idzie pas złożony z kilku wązkich zakładek. Brzegiem naszyta koronka.

W miejsce pasmanteryi mięszanych ze stalą albo lawą, daje się widzieć wiele przerabianych słomą ryżową. Używają ich do ozdoby sukien letnich. Bluzki jednakże kaszmirowe i jedwabne, przybierane stalowemi lub czarnemi pacioreczkami, nie wyszły dotąd z mody.

Dzieci małe dopóki nie chodzą, ubierają zawsze biało. Zalecamy szczególniéj sukienkt białe rypsowe lub pikowe, wyszywane sutaszem. Ładnie też wygląda sukieneczka gładka z nanzuku, z kilkoma u dołu zakładkami, zakończona takąż ruszką. Staniczek do niéj z czworograniastym wykrojem, przymarszczany, obszyty ruszką w górze, rękawki krótkie. Szarfa z wstążki niebieskiéj dopełnia ubrania.

Kapelusik dla małego dziecka najładniejszy słomkowy, z odwiniętemi bokami, przepasany wstążką niebieską, podgarnirowany pod spodem tak, aby garnirunek naśladował czapeczkę.

Dziewczynki do wyjścia ubierają, w paletocik pąsowy flanelkowy z małym kapturkiem, objęty aksamitką czarną. Ładnie też wygląda taki paletocik biały objęty kolorową aksamitką.

Letnie materje jedwabne, bardzo ładne w tym roku; niektóre z nich mają drobniuchny rzucik, inne znów białe lub czarne prążki. Wiele także widać sukien zupełnie gładkich, z takimże samym paletocikiem. Między innemi widzieliśmy z magazynu *Gagelina*, piękną suknię koloru jasno-szafirowego, w białe drobne punkciki. Inna suknia także szafirowa, w paski zielone w dosyć szerokich odstępach, spódnicę miała gładką, zakończoną grubym sznurem. Paletocik takiż sam, bardzo krótki, ogarnirowany był ruszą szafirową. Stanik z krótką baskiną, z tyłu odpowiedni miał garnirunek. Kapelusz do tego był ryżowy, przybrany bandeletkami z pawich piórek.

Przytaczamy tu jeszcze ubranie młodéj osoby, odznaczające się dobrym gustem. Suknia popielata jedwabna, w drobne paseczki do cieniu. Koszulka biała fularowa w czarne muszki, przybrana z przodu gipiurą i aksamitką czarną, takiż garnirunek u rękawów i na epoletach, pas pąsowy *gros grains* nie zbyt szeroki, spięty na klamerkę. Włosy przepasane pąsową wstążeczką Nr. 9-ty z kokardą spadającą z boku. Trzewiczki wycięte pąsowe safjanowe, z kokardą na przodzie, pończochy białe w czarne muszki. Ubranie to ma się rozumieć nie było przeznaczone do wyjścia na ulicę.

Chustki do nosa z kolorowemi winietkami po rogach, należą do najmodniejszych w tym roku.

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 10 Czerwca 1865 r.

Kolor popielaty w rozmaitych odcieniach, panuje dziś nad innemi; połowę też kobiet na ulicy, można spotkać ubranych popielato. Noszą też bardzo suknie lekkie w kolorze szamoa, niewarowym i lilla. Niektóre suknie popielate naszywają w rozmaite wzory wstążką czarną, fijołkową lub jasno-szafirową (bleu mexique) najwięcéj jednak widać zupełnie gładkich. W powozach ukazuje się mnóstwo sukien białych fularowych lub wełnianych, w drobny rzucik czarny albo ciemny, a często zupełnie gładkich, z naszyciem lilla, niebieskim i czarnym.

Z pomiędzy strojniejszych sukien, podobała się nam jedwabna jasno-orzechowa w czarne podłużne pasy. U dołu zakończona była torsadką szmuklerską, wązką na palec. Staniczek gładki miał w około niewielką baskinę, rozdzieloną na pięć klapek, objętych odpowiednią torsadką. Przód stanika spinał się na guziki czarne z drzewa hebanowego, wykładane konchą perłową. Rękawy obcisłe ścięte do łokcia przybrane były u ręki torsadką i guzikami; torsadka otaczała pachę.

Inna suknia fularowa, w kolorze dziko-fijołkowym *(pervenche)* w czarne podłużne pasy, miała nad obrębem ruszę jedwabną czarną. Stanik z baskiną przybrany był takiemiż ruszami, również jak rękawki u ręki i na ramieniu.

Skromniejsza od tych, suknia popielata *fil de chèvre* w drobne białe paseczki, miała u dołu wąziuchną falbaneczkę, z tegoż samego materjału. Z przodu spódnicy szła szeroka listwa przybrana z obu stron takąż falbaneczką; przez środek dane były rzędem guziki z konchy perłowéj. Staniczek gładki spięty na guziki, przybrany był takąż listwą i falbaneczkami. Z tyłu spadał karoczek, stosownie ogarnirowany, przyciśnięty nie zbyt szerokim paskiem, odpowiedniego koloru, spiętym na klamerkę z konchy perłowéj.

Materje w poprzeczne paski powracają znów do mody. Widzieliśmy takie w paski szerokie na palec, popielate z czarnem, hawanna z czarnem, lilla z białem i t. p. Paski te nie idą prosto, lecz tworzą lekkie zęby. Tkaniny lekkie na suknie w bardzo szerokie pasy odmiennego koloru, w półłokciowych odstępach należą także do tegorocznych nowości, ale nie zalecają się gustem i mało są noszone.

Wiele bardzo daje się widzieć czarnych jedwabnych paletocików, bardzo krótkich, obszytych u dołu i po bokach ruszą ze strzyżonéj materji. Takaż rusza idzie w około pachy i zakończa rękaw u ręki.

Inne znów paletociki przystrojone są na wszystkich szwach pasmanterją przerabianą stalowemi lub też lawowemi paciorkami. Nowy rodzaj taśmy używany do paletotów podobny jest do kanwy jedwabnéj, naszywanéj pacioreczkami z wypuszczoną po obu stronach frendzelką. Uważaliśmy także paletociki czarne jedwabne z płaskim kapturkiem spadającym na plecy z pasmanterją z kwaścikami. Bardzo też wiele noszą paletocików z tego samego materjału jak spódnica, z bareżu i rozmaitych wełnianych gładkich wyrobów. Paletociki bareżowe koniecznie podszyte być muszą muślinem albo marseliną; za całą ozdobę służą wązkie skośne plisy na trzy palce z kolorową wypustką, naszyte raz albo dwa razy na około paltocika. Kształt ich surducikowy, przystający do figury.

W obecnéj porze najwięcéj widzieć się daje kapeluszy z białéj krepy lub tiulu, układane w fałdki albo marszczone. Wszystkie mają kształt małéj chusteczki związanéj pod brodą na wielką kokardę ze wstążki; oprócz wstążek, do niektórych kapeluszy dodają szarfy z tiulu jedwabnego. W miejscu karczka spadają na warkocz dwa szerokie końce tiulowe przytwierdzone broszą albo drobnemi kwiatkami białemi. Podpięcie składa się zwykle z tiulu skręconego z bukiecikiem. Ładne też widzieliśmy kapelusze z czarnego tiulu naszyte stalowemi paciorkami, woalik tiulowy spadający na warkocz również naszyty paciorkami lub przyozdobiony wisiorkami z wielkich stalowych pereł w kształcie bombków podługowatych. Podpięcie nad czołem złożone z rulonu aksamitnego przepinanego podobnemi wisiorkami. Boki podgarnirowane białą blondynką bardzo wązką. Szarfy do wiązania bywają w kolorze fijołkowym, szafirowym lub czarnym stosownie do rulonu nad czołem.

Woalki tak białe jak i czarne koronkowe naszywają stalowemi paciorkami i stalową frendzelką.

Ubranie głowy Greckie najmodniejsze w téj chwili w Paryżu. Ubranie to składa się z potrójnéj przepaski wązkiéj na palec, naszytéj raz koło razu perłami wielkości grochu. Aksamitka czarna obszywa się na druciku i otacza głowę, do téj przytwierdzają się dwa krótsze rzędy przechodzące w równych odstępach. Wszystko to razem wygląda jakby głowa opasana była trzy razy. Na aksamitce naszywają się paciorki stalowe, złote, srebrne, białe lub drobne kwiatki jak stokrotka, rumianek i fijołki stosownie do upodobania.

Uważaliśmy także kilka ładnych sukienek dziecinnych, których dajemy szczegółowy opis:

Sukienka dla sześcioletniéj dziewczynki, jasno popielata alpagowa, miała nad obrębem pas z alpagi białéj, szeroki na pół ćwierci łokcia, naszyty raz koło razu wąziuchną czarną aksamitką. Stanik, a raczéj gorsecik szwajcarski, zachodzący tylko pod pachę przybrany był białą alpagą naszytą aksamitkami, odpowiednio do spódniczki, takiż pasek i szelki, dopełniały całości. Pod spód szła koszulka muszlinowa biała w zakładki, z długiemi rękawkami. Do wyjścia na ulicę, służył krótki paletocik z tejże saméj alpagi przybrany stosownie. Kapelusik do tego okrągły słomkowy przepasany czarną aksamitką.

Inna sukienka dla pięcioletniéj dziewczynki, popelinowa niebieska w białe paski, wycięta była u dołu w okrągłe zęby. Staniczek w formie szwajcarskiego gorsecika, z jedwabnemi niebieskiemi szelkami, przepasany był szeroką szarfą ze wstążki niebieskiéj. Pod spód szła biała koszulka, na wierzch do wyjścia kaftanik wycięty w zęby. Kapelusik okrągły słomkowy przybrany aksamitką niebieską dopełniał ubrania.

Tak małe dziewczynki, jak i dorosłe panny, noszą do wyjścia paletociki, przypasane z wierzchu pasem spiętym na klamrę. Dla panienek ładnie to wygląda, ale dla osób starszych nierównie lepiéj gdy figura zakryta.

Na gorące dni letnie noszą zamiast staników, koszulki białe muszlinowe, w szerokie zakłady, podwłóczone wstążką niebieską albo lilla. U szyi, u rąk i na ramieniu dana zwykle bufka z podwójnego muszlinu.

Do częstszego ubrania używane bluzki białe płócienne z cienkiéj weby, układane w zakładki i garnirowane walansienką.

Rękawiczki duńskie uważają za najstosowniejsze do letniego ubrania. Tylko do strojnych jedwabnych sukien, używają rękawiczek kozłowych.

Seweryna D.

Opis ryciny

Przedstawiającéj różne ubrania głowy.

Nr. 1 i 2. *Ubranie głowy panny Młodéj.* W ubraniu panny młodéj do ślubu, powinna panować wielka prostota, wolna od wszelkiéj przesady.

Układ włosów, jakiego wzór dajemy trzeba wykonać w następujący sposób: Włosy odbierają się nie zbyt wysoko do przodu, od jednego ucha do drugiego. Nad czołem ułożyć dwa pukielki jeden za drugim, pozostałe włosy odwracają się w górę od skroni, *à la Marie Stuart*; powinny one tworzyć jednę całość z niższym puklem. Ztyłu włosy wiążą się bardzo nisko, przypinają płasko śpilkami i pokrywają zwierzchu pękiem osobnych loków, *à la grècque* na to idzie diadem z kwiatu pomarańczowego, dopełniony przez wierzch głowy, greckiemi bandeletkami z tegoż kwiatu. Na to wszystko upina się wielki woal z iluzji, przysłaniający twarz i całą figurę.

Nr. 3. Ubranie to zupełnie nowe, przypada szczególniéj osobom, które mają wydatne rysy twarzy. Wzór do niego wzięty z posągów starożytnych.

Wykonanie. Trzeba szczesać wszystkie włosy w górę po chińsku, zostawiwszy po promieniu na obu skroniach. Pozostawione włosy odwracają się w górę, tworząc niby *à la Marie Stuart.* Warkocz z tyłu należy zapleść i przypiąć płasko śpilkami, nad czołem przytwierdzić trzeba osobne loczki. Po nad loczkami, przypina się utrefiona fryzura, pokrywająca głowę i warkocz, zakończona lokami spadającemi na szyję. Na to wszystko idzie ubranie z grubego sznuru złotego, który nad czołem tworzy węzeł gordyjski, przechodzi sześć razy przez wierzch głowy, w jednakowych odstępach.

Nr. 4 i 5. Odbierają się włosy wysoko nad czołem. Z tych po jednym promieniu z każdéj strony należy ukarbować na śpilkach, a potem ułożyć je płasko powyżéj skroni. Z pozostałych włosów, trzeba upiąć na środku głowy, pięć pukli skręconych na palcach i przytwierdzonych śpilkami. Pod tem wpina się nad czoło fryzurka zdrobnych loczków. Z tyłu głowy nie bardzo nisko upięty kok ze swoich lub obcych włosów, z pod niego i pobokach spadają przyprawne loki, oprócz tego głowa opasana aksamitką, przybraną nad czołem złotemi cekinami.

KORRESPONDENCJA.

Pani Antoninie Ol. Do kupna poduszki dołożyliśmy złp. 1.—Pani W: Gal: Książki podobno wysłane zostały przez pana Dzwonkowskiego i dlatego złp. 20 nie zwrócono nam. W Redakcji naszéj znajduje się złp. 13 gr. 4.

Pani Z: S: Dą: Suknią z alpagi wyciąć u dołu w zęby jak forma podana była na arkuszu z deseniami do haftu i objąć czarną wypustką i taśmą wełnianą. Stanik gładki do paska. Rękawy paltotowe z epoletem i mankietem w zęby wycinanym. W miejsce stanika odpowiedni także paltocik zrobiony do figury, wycinany w zęby z czarném objęciem. Suknię perkalową można zrobić również z paltocikiem. Z ciepłych okryć dotychczas najwięcéj używane paletoty i burnusy bez rękawów. Za przepisy kuchenne serdecznie dziękujemy.

Pani Milc. w Mo. Obuwie przesłaliśmy.—Pani Długobor. Prosiemy o wiadomość co do sukni morowéj.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.